WTOREK

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ŚWIAT MŁODYCH

NR 119 4 PAŹDZIERNIKA 1977 R. CENA 1.50 ZŁ

Fotoreportaż „Dwa oblicza Belgradu" str. 5

NA RYŻOWEJ MIOTLE...

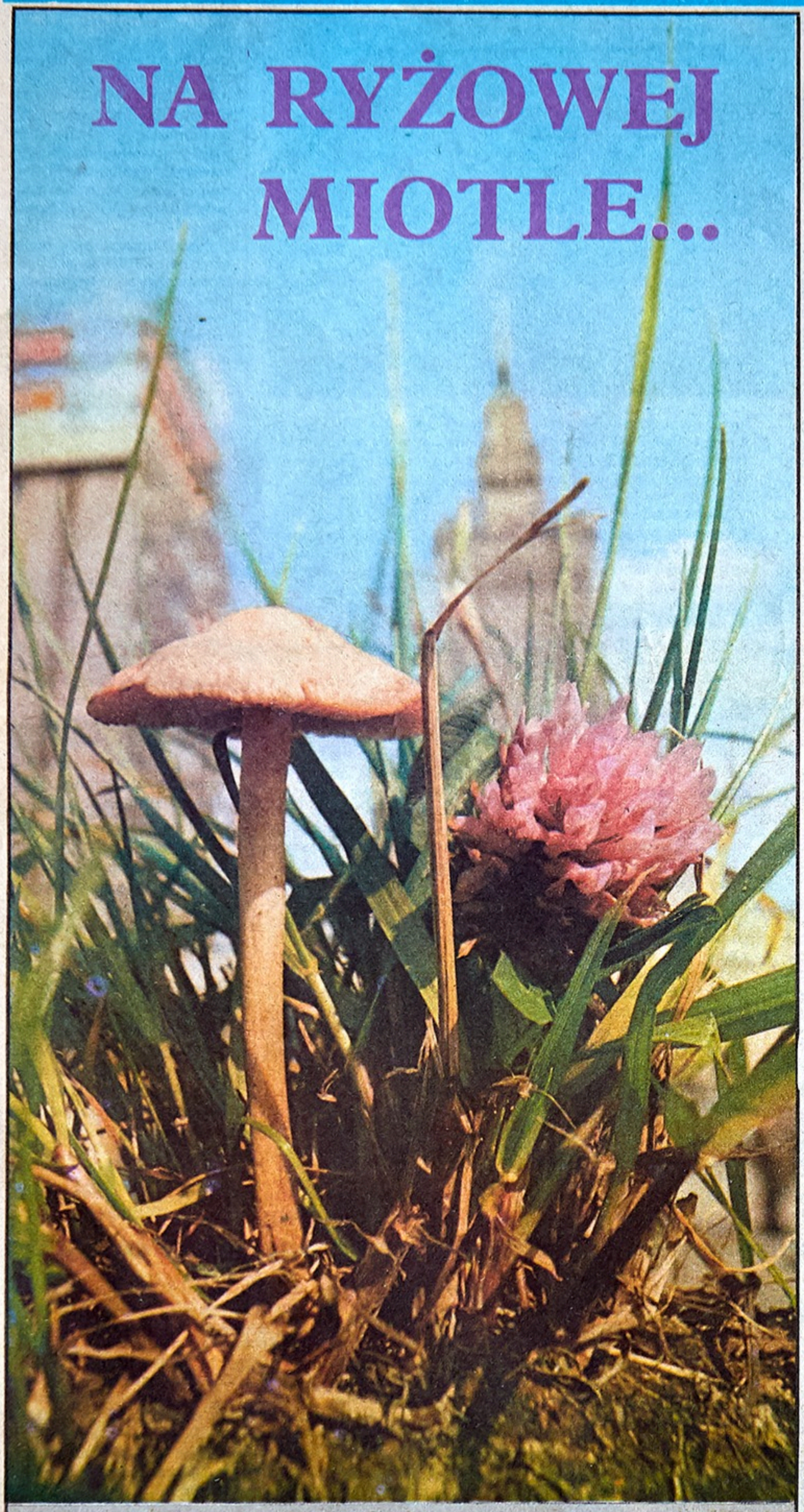

...i nie tylko tam – o czym przeczytacie wewnątrz numeru – potrafią wyrosnąć grzyby. Potwierdza to zdjęcie wykonane tego lata w śródmieściu Warszawy. Przedstawia ono jeden z najsmaczniejszych grzybów naszego kraju – twardzioszka przydrożnego, którego znaleźć można na każdym niemal warszawskim trawniku. W parkach i zieleńcach stolicy rośnie zresztą kilka gatunków tych mało dotąd zbadanych roślin. A więc zapraszam Was na stronę 3 na spotkanie z jeszcze innymi tajemnicami grzybów.

Fot. J. Dąbrowski

SKŁADNICA HARCERSKA W CIECHANOWIE

CIECHANÓW (HSI). W Ciechanowie odbyło się uroczyste otwarcie Składnicy Harcerskiej. Dyrektor CSH zapewnił, że ciechanowscy harcerze będą mogli znaleźć na półkach dużo interesujących rzeczy. W składnicy można kupić pełne umundurowanie, emblematy harcerskie, materiały politechniczne do majsterkowania, sprzęt sportowy i turystyczny oraz odzież sportowo-turystyczną.

Jan Augustynowicz

Barszcz moskiewski z pierogiem

TARNOWSKIE GÓRY (HSI). Sałatka z papryki, frytki, galaretki i inne desery polecał w ostatnim tygodniu szef kuchni zastępu „Kosmonautek", ze Szkoły Podstawowej nr 10 w Tarnowskich Górach. Do wykonania tego turniejowego zadania zastęp podzielił się na trzy zespoły: kucharek, kelnerek i... zespół estradowy. Zaproszeni na tę degustację nauczyciele, instruktorzy i przedstawiciele wszystkich drużyn zgodnie stwierdzili, że gotowane w szkolnej kuchni smakołyki były rzeczywiście wyborne.

Ewa Zemanek

„Mój przyjaciel Wania"

ZABRZE (HSI). Pełną parą działają już w Szkole Podstawowej nr 22 w Zabrzu sztab i zastępy turniejowe. Zakończono już przygotowania do szkolnego festiwalu piosenki rosyjskiej i radzieckiej, który przeprowadzony zostanie w formie nastrojowego wieczoru. Kilka zastępów organizuje aktualnie wśród uczniów młodszych klas wielki ogólnoszkolny konkurs rysunkowy pn. „Mój przyjaciel Wania".

Rafał Kaczmarek

Cutezătorii donosi: SPOTKANIE W LESIE

RUMUNIA. Zastęp Kristiny Timar ostatnią zbiórkę spędził w plenerze. Rano dziewczęta i chłopcy pojechali do małej miejscowości Buzau. Tutaj umówieni byli na spotkanie z leśniczym. Podczas całodniowej wycieczki po lesie pionierzy uczyli się rozpoznawać gatunki drzew, ziół, owoców leśnych. Dowiedzieli się mnóstwa interesujących rzeczy o zwierzętach zamieszkujących lasy, ich zwyczajach, życiu. **(ach)**

Nowe boiska na Boninie i Winiarach

POZNAŃ (HSI). Poznańskie spółdzielnie mieszkaniowe pamiętają o swych młodych mieszkańcach. Na osiedlu Bonin pracownicy SM „Jeżyce" wraz z młodzieżą Szkoły Podstawowej nr 27 wybudowali Ośrodek Rekreacyjno-Sportowy. Można tam pograć w tenisa, koszykówkę, uprawiać lekkoatletykę. Jest również ścieżka zdrowia. Podobny ośrodek powstaje na osiedlu Winiary I. W zimie będą tu lodowiska. **(ap)**

UWAGA UCZESTNICY TURNIEJU WARCABOWEGO!

Ze względu na krótki termin jaki pozostał do rozgrywek finałowych zadania 31, 32, 33 i 34 zamieścimy w numerze czwartkowym z dnia 6 bm. Ostatnie zadania – 35 i 36 – w numerze sobotnim z dnia 8 bm. Natomiast rozwiązania zadań od 27 do 36 znajdziecie w numerze z dnia 20 bm. Za przyspieszenie serdecznie przepraszamy!

Organizatorzy

Warto o tym wiedzieć

NOWY SYSTEM STYPENDIALNY

Blisko połowa młodzieży studiującej pobierze w październiku z kas uczelni stypendia wypłacone według nowego systemu, wprowadzonego Rozporządzeniem Rady Ministrów z dn. 1.X.br. Dynamiczny wzrost dochodów społeczeństwa spowodował potrzebę zweryfikowania dotychczasowych zasad pomocy materialnej dla młodzieży akademickiej. Szczegółowe propozycje powstały w czasie dyskusji w środowisku studenckim przez II Zjazdem Socjalistycznego Związku Studentów Polskich.

Przede wszystkim z 1400 do 1800 zł podwyższono granicę dochodów przypadających na jednego członka rodziny, która jest podstawą do przyznania stypendium. Coraz wyższe zarobki we wszystkich dziedzinach gospodarki spowodowały, że systematycznie zmniejszała się liczba studentów pobierających stypendium. Obecnie prawo do pomocy materialnej przysługuje prawie co drugiemu studentowi. Uległa zwiększeniu do 1400 zł stawka stypendium dla tych, którzy wywodzą się z rodzin najgorzej sytuowanych o dochodzie nie przekraczającym 600 zł na członka rodziny.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że o wysokości stypendium decyduje rzeczywista sytuacja materialna studenta. Zdarza się, że nie wszyscy rodzice, mimo że ich na to stać, utrzymują swoje dzieci w czasie studiów. W takiej sytuacji grupa działania SZSP może wnioskować o przyznanie stypendium w wyższej wysokości. Bardzo wyraźnie wzrasta rola grup działania SZSP, które dokonują oceny warunków materialnych, wyników w nauce, a następnie zgłaszają wnioski w sprawie podwyższenia, obniżenia lub utrzymania stypendiów, czy przyznania zasiłków.

Najatrakcyjniejszą formą pomocy stały się stypendia fundowane, które przyznawane będą niezależnie od sytuacji materialnej studenta i wynoszą obecnie minimum 1600 zł, przy czym niektóre przedsiębiorstwa mogą je podwyższać o 25%. Będą one wypłacane przez 12 miesięcy w roku (stypendia zwyczajne przez 10 miesięcy).

Zmieniono również zasady nagradzania studentów przodujących w nauce. Dotychczas wysokość premii uzależniona była od sytuacji materialnej studenta. Ten, który osiągnął średnią ocen cztery i pobierał stypendium, otrzymywał wyższe premie od tego, który osiągał średnią pięć, ale stypendium nie pobierał. Obecnie semestralna premia za wyniki w nauce będzie wyłącznie nagrodą za pracę studenta i może wynosić od 1000 do 2000 zł. Kwoty te mogą być podwyższone na wniosek grupy działania SZSP dla tych studentów, którzy wyróżniają się swoją postawą oraz działalnością społeczną. (mj)

KLUCZE, KTÓRE OTWIERAJĄ ŚWIAT

Ilekroć wracam do lektury „Przedwiośnia" Żeromskiego, zawsze niesłychanie bawi mnie scena, kiedy to na uroczystym balu w mieście guberialnym pod Uralem pani Barykowa, pragnąc przyczynić się w miarę możności do powodzenia i awansów męża, zaszkodziła mu w rezultacie swą niedostateczną znajomością mowy rosyjskiej. Chcąc bowiem zdobyć przychylność dorastającej córki gubernatora powiedziała patrząc na piękny kwiat przypięty do stanika jej sukni: – „Ach, kakaja u was krasnaja roża". Na co usłyszała zdumiona i przerażona tragiczny okrzyk: „Papieńka! Papieńka! Mienia zdieś obiżajut!" Niestety, takie nieporozumienia, choć już nie na dyplomatycznych balach, ciągle jeszcze zdarzają się, kiedy Polak za wszelką cenę chce pokazać Rosjaninowi, że zna wybornie jego ojczysty język. A prawda jest taka, że choć rosyjskiego uczy się w Polsce ok. 5,7 mln osób, to – brzmi to pewno paradoksalnie – jego bliskość, podobieństwa słownikowe i składniowe sprawiają, że niewielu biegle włada tym językiem.

Kontakty naszego kraju z całym światem są ogromnie żywe. Umiejętność porozumienia się za pomocą gestów i „łamańców" językowych już więc nie wystarcza. Języka rosyjskiego uczy się całe młode pokolenie w szkole podstawowej, potem średniej, na studiach i mimo to wyniki są niezadowalające. A przecież nie wystarczy znajomość tylko jednego języka obcego, aby uważać się za osobę inteligentną, otwartą na sprawy świata.

Przedstawiam Wam dziś człowieka, którego zawodem i pasją życiową zarazem jest zgłębianie największych zawiłości języka obcego, poznawania odległych kultur i przekazywanie tej wiedzy Polakom. Rozmawiam ze znakomitym tłumaczem literatury radzieckiej i pedagogiem doc. dr. Florianem Nieuważnym z Instytutu Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Warszawskiego.

JĘZYK 130 NARODÓW

Doc. dr Florian Nieuważny: – Trzeba mieć świadomość wagi języka rosyjskiego, bo stoi na nim i dawna tradycja, i ogromna kultura, i kraj, i ustrój, i potęga myśli. Poza tym nasza współpraca naukowa i techniczna jest niemożliwa bez znajomości języka rosyjskiego. Rosjanie robią najwięcej przekładów ze wszystkich języków świata. Poprzez nie możemy bardzo szybko sięgać do naukowej literatury fachowej. Całe sztaby ludzi w Związku Radzieckim przygotowują „Referatiwne żurnały", w których ukazują się sprawozdania dotyczące osiągnięć nauki światowej z zaledwie miesięcznym poślizgiem.

To jeden aspekt problemu. Ale ja zajmuję się historią literatury, literaturą współczesną, poznawaniem ZSRR i staram się przybliżyć ten kraj Polakom. O tym więc chciałbym powiedzieć.

„Świat Młodych": – Są języki tak popularne w świecie, że dominują na pewnych obszarach i dzięki nim możemy poznać dorobek kulturalny nie tylko narodu, który nim się posługuje, ale i innych. Tak jest np. z angielskim, który ułatwia poznawanie egzotycznych Indii, dzięki hiszpańskiemu zaś – otwiera się dla Europejczyków świetna literatura Ameryki Południowej. A jak jest z rosyjskim?

F.N.: – Podobnie. Stale uzmysławiam swoim uczniom, że Związek Radziecki to przecież wspólnota ponad stu narodowości i ponad stu kultur. Nie ma i nie było w historii lingwistyki człowieka, który znałby tyle języków. Pewien poliglota włoski znał ich 69. A w ZSRR ukazuje się codziennie mnóstwo książek z literatury pięknej, aż w 76 językach narodowych. Są wśród nich książki narodów mających kulturę o wiele starszą niż jakakolwiek kultura europejska. Przykłady: Armenia (jedna z najstarszych kultur świata), niektóre kultury Azji Śr. jak uzbecka, tadżycka... Stamtąd przyszło bardzo wiele zjawisk i pojęć, którymi posługujemy się w naszej mowie, nie uświadamiając sobie ich źródła. Polacy na trasach wycieczkowych, nawet jeśli prowadzą one na Bucharę, Chiwę, Taszkient, Samarkandę nie mogą poznać prawdziwego oblicza tego ogromnego kraju, gdyż umożliwia im to jedynie literatura.

I dla narodów Związku Radzieckiego rosyjski język pełni rolę dragomana – czyli posłańca między rozmaitymi kulturami i narodami. Ukrainiec interesujący się kulturą uzbecką, a Uzbek – ukraińską poznają ją poprzez język rosyjski. Ma on więc rolę maszyny, jakby przebijającej tunel do bardzo przecież ciekawych rejonów kulturalnych, naukowych, obyczajowych, po prostu egzotycznych.

Gdyby nie język rosyjski, nie wiedzielibyśmy o Czingizie Ajtmatowie – Kirgizie, który początkowo pisał tylko po kirgisku, nie znalibyśmy wspaniałej literatury ormiańskiej – wymienię tu Granta Matewosjana, który tak ciekawie wprowadza nas w mentalność, w kulturę, w śmiech współczesnej Armenii. Nie znalibyśmy wspaniałego pisarza, myśliciela, pogodnego filozofa współczesnego, poety – laureata Nagrody Leninowskiej Rasuła Gamzatowa, gdyby nie przekłady. Ci pisarze byliby tylko własnością i ozdobą własnych literatur, dumą tylko swojego narodu.

FIOŁKI W TYGLU

„ŚM": – Pana zawód daje możliwość spojrzenia na literaturę obcą w sposób głębszy niż zwykłemu czytelnikowi...

F.N.: – Moje zafascynowanie językiem rosyjskim zaczęło się, prawdę powiedziawszy, od rozwiązywania krzyżówek. Potem, kiedy już przychodziło mi to z łatwością, powstały moje pierwsze przekłady poetyckie. Było to w szkole średniej. Oczywiście, te wprawki były nieudolne. Czy chciałbym dziś do nich wrócić? Nie, smaki moje zmieniły się absolutnie. Lubię poezję trudną, lubię zagadki. Tłumaczenie to ciężka praca i częste zawody, ale to właśnie stanowi urok tej harówki – jak przeszło 40 lat temu powiedział z humorem Julian Tuwim, kiedy nie udało mu się przetłumaczyć Puszkinowskiego „Rusłana i Ludmiły" z powodu jednego czterowiersza. Napisał wtedy piękny esej „Czterowiersz na warsztacie", o kłopotach i radościach tłumacza.

Praca tłumacza przypomina to, co określił Shelley jako przetapianie fiołków w tyglu. Bierze się żywy fiołek i trzeba go tak delikatnie przetopić, by nadać mu lekko inne zabarwienie ale przybliżone do oryginału, nie zmieniając kształtu i nie gubiąc jemu właściwego zapachu. Aby móc tłumaczyć trzeba mieć ogromne przygotowanie, świetnie znać mechanizmy, które rządzą językiem. To robota piekielnie trudna. Ale jakże frapująca, jakże interesująca! Nie potrafię sobie wyobrazić ciekawszego zawodu.

Nie każdy z nas musi zostać zawodowym tłumaczem, ale nie znaczy to, że zadowalać się powinniśmy powierzchowną znajomością języka. A do niej właśnie prowadzi zwykle „wyklepywanie" samych regułek i „kucie" słówek. Bo przecież ich znajomość nie jest celem w sobie, ale pozwala poznawać najcenniejsze wartości innych narodów – ich kulturę. Dlatego, ucząc się języka – dobrze jest być hobbistą. Zainteresowanie – choćby elektroniką pomaga w nauce, bo zmusza do sięgnięcia do literatury fachowej, nie tylko rodzimej. Istotne jest również wszystko, co tworzy sztucznie atmosferę językową zbliżoną do naturalnej. A więc radio, filmy bez dubbingu, płyty z muzyką i poezją, czasopisma (nie gazety – bo te zubożają język), w których można czytać ciekawe opowiadanie, no i cała literatura, odkrywająca nam to, co nieznane, a powinno stać się bliskie.

EWA BIELSKA
Fot. **Jacek Łopuszyński**

Szlakiem złamanych traktatów

Przez długie dziesiątki lat świat czytał książki o Indianach, oglądał o nich filmy, traktując ich jednocześnie jak rasę, która wymarła. Głęboka cisza otoczyła Indian żyjących w Stanach Zjednoczonych. Ale w tej ciszy działo się wiele: geolodzy odkrywali nowe złoża minerałów, rozrastał się przemysł, budowano nowe miasta, linie kolejowe, autostrady. I zawsze, kiedy okazywało się, że na drodze tych poczynań znalazł się indiański rezerwat, rząd w Waszyngtonie podejmował decyzję uszczuplającą jego tereny. I znów któryś z traktatów zostawał naruszony, uznany za nieważny. A traktatów tych zawarto niegdyś z plemionami indiańskimi aż 389.

Nad Indianami sprawuje opiekę powołane w XIX wieku Biuro do spraw Indian, kierujące się w swej działalności wieloma aktami prawnymi, które stanowią swoiste uzupełnienie podpisanych wcześniej traktatów. Istnieje obecnie ponad 2000 rozporządzeń, 5000 dekretów, 2000 federalnych przepisów prawnych i 5000 zaleceń ministra sprawiedliwości. Większość z tych dokumentów powstała tylko w jednym celu – by zmienić, lub zinterpretować na niekorzyść Indian owe zawarte przed laty traktaty. A już one same były narzucone siłą i krzywdziły Indian. Większość Indian żyje obecnie w 5 stanach: Oklahoma, Arizona, Kalifornia, Nowy Meksyk i Północna Karolina. Przebywają w 290 rezerwatach, z których największy – plemienia Navajos (60 tys. km kw.) znajduje się na terenie stanu Nowy Meksyk i Utah. Najważniejszymi plemionami, których jest w St. Zjednoczonych około 300, są Navajos (ponad jedna czwarta ogółu Indian), Siuksowie, Apacze i Irokezi.

Przed kilkunastu laty Indianie jakby obudzili się z prawie wiekowego snu i odrzucając stare konflikty i nieprzyjaźnie międzyplemienne, zaczęli organizować się w celu wspólnej walki o swe prawa. Warto jednak wspomnieć, że już na pierwszej – założycielskiej konferencji ONZ w San Francisco (IV–VI 1945) zjawiła się delegacja plemienia Irokezów z protestem przeciwko rządowi St. Zjednoczonych niedotrzymującym zawartych traktatów. Jednak uwagę całego świata zwróciło dopiero zajęcie w 1973 r. przez uzbrojonych Indian z plemienia Siuksów miasteczka Wounded Knee, gdzie przed 80 laty żołnierze armii USA dokonali masakry bezbronnych Indian w tym kobiet i dzieci. „Siuksowie wkroczyli znów na wojenną ścieżkę" – donosiła wtedy światowa prasa. Nikt, kto uczciwy i postępowy nie śmiał się wtedy z tego anachronizmu. Wszyscy rozumieli, że jest to akt rozpaczy. Indianie wyciągnęli wnioski z tamtego stłumionego przez rząd buntu, zrozumieli, że trzeba się zjednoczyć w daleko szerszym sensie. Że muszą zjednoczyć się wszyscy Indianie, cały lud żyjący na obszarze od Bieguna Północnego po Ziemię Ognistą. I że nie aktów rozpaczy trzeba, a międzynarodowego działania.

Tak doszło tej jesieni, po raz pierwszy w historii ONZ, do pojawienia się problemu Indian na forum Komisji Obrony Praw Człowieka ONZ. Najostrzejsze zarzuty, przedstawili Indianie z USA i Kanady. Udokumentowali oni fakt rozkradania ich ziemi. Gdy w Pałacu Narodów w Genewie, gdzie obradowała komisja, zjawiło się ponad 100 przedstawicieli licznych plemion USA i Kanady oraz 11 państw Ameryki Płd. i Środkowej z ponad 1000-stronicową dokumentacją, ilustrującą ich skargi, znalazły się na Zachodzie takie środki przekazu masowego, które kpiły z indiańskich strojów, z pióropuszów. Jednak poważna część prasy stwierdziła, że oto powstała zupełnie nowa jakość walki Indian o ich prawa, o prawa człowieka.

Jeden z oficerów uczestniczących w wojnach z Indianami na terytorium USA, tak napisał w swym pamiętniku: „Indianie prowadzą wojnę rozpaczy. My – wojnę podboju i przemocy". W 1620 roku gdy „blade twarze" przybyły na dzisiejsze tereny St. Zjednoczonych żyło tam (według bardzo zaniżonych obliczeń) około 1,5 mln Indian; w 1900 r. już tylko ćwierć miliona.

JERZY KOWALKOWSKI

REPORTER Świata Młodych

PIĄTKA Z GAZETKI ŚCIENNEJ

Ewka miała 15 lat i mieszkała z rodzicami w trochę mniejszym namiocie niż nasz. Z braku pogody i innego towarzystwa zapoznałyśmy się już pierwszego dnia pobytu na Mazurach.

Fajnie było z Ewką. Wesoła dziewczyna. Kiedyś wybrałyśmy się razem na grzyby. Po półgodzinnym, bezowocnym poszukiwaniu takowych, zmieniłyśmy zamiar. Zaczęłyśmy zbierać jagody. I wtedy, jak spod ziemi wyłonili się dwaj chłopcy. Trochę młodsi ode mnie. Tacy w wieku Ewki. Kiedy ich zauważyła, stanęła jak wryta, po czym nastąpiło tak czułe i głośne powitanie, że szybko zorientowałam się, iż są to podwórkowo-klasowi koledzy Ewki. Mieli trzy koszyki pełne grzybów.

Poszliśmy do ich obozowiska. Rozbili się nie na campingu, ale w środku lasu, na uroczej polance, obok – może trochę zbyt brutalnie – wyciętego zejścia do jeziora.

Ewka coś tam zaczęła na temat ochrony środowiska, ale ją zakrzyczeli i władowali nam do koszyka połowę zebranych grzybów.

Widać było, że im samym, w te pochmurne dni też trochę się nudziło, więc otrzymałyśmy zaproszenie na ognisko „...pośpiewamy, pogadamy... tylko przyjdźcie na pewno!"

W powrotnej drodze Ewa zaczęła coś przebąkiwać o tym, że ogniska, tak w lesie, to chyba nie wolno, że „... jakie tam były połamane gałęzie" i po co oni wyrwali te krzaki przy zejściu do jeziora. Przyznam się, że zaczęła mnie trochę nudzić więc trzepnęłam jakiś kawał o mrówkach i ze śmiechem pobiegłyśmy do rodziców pochwalić się grzybami.

Przed wieczorem wpadła Ewka, wyciągnęła mnie z namiotu i mówi, że w ośrodku wczasowym, po drugiej stronie jeziora organizują dziś dyskotekę. Powiedziałam, że trzeba w takim razie skoczyć po chłopaków i popłyniemy kajakami. A ona na to, że owszem popłyniemy, ale jednym kajakiem i same.

To było nie fair, oni też pewnie chętnie by potańczyli. Tak mnie to nurtowało, że w czasie przerwy w zabawie zagadnęłam znowu, dlaczego właśnie tak zrobiła.

I wtedy usłyszałam opowiadanie o ostatnich dniach nauki w klasie VIII b, o tym, że przed końcem roku matematyczka-wychowawczyni poprosiła o zrobienie gazetki o ochronie środowiska i o tym, że zgłosił się właśnie Jarek – jeden z tych dwóch chłopców. Gazetka była najładniejsza spośród trzech innych (zdanie dyrektora). Ewka nie przypuszczała, iż Jarek tak doskonale potrafi wprowadzać w życie swoje hasła o ochronie środowiska naturalnego. Chociaż... ta gazetka przydała się jednak do czegoś, bo piątka z gazetki zaważyła na jego końcowym stopniu z matematyki.

Historia miała też swój „end". Szkoda tylko, że nie „happy". Na drugi dzień rano, kiedy pobiegłyśmy do miasteczka po chleb i mleko, widziałyśmy ich raz jeszcze. Przez szybę. W takiej niedużej budce, nad drzwiami było napisane chyba MO, czy coś takiego...

MAŁGOŚKA, Radom
korespondencja pierwsza

Przeczytałam w „Sztandarze Młodych" ogłoszenie o hufcu pracy w szpitalu i natychmiast przyjechałam do Z. Od dziecka chciałam być pielęgniarką.

Dlaczego? Chodziłam do szpitala do mamy, widziałam jak bardzo potrzebna jest pacjentom pomoc i trochę życzliwości.

Matka zmarła na serce, gdy miałam 9 lat. Byłam akurat w prewentorium, kiedy dostałam telegram ze szpitala. Przeżyłam wtedy szok: szarpałam opiekunkę za fartuch, płakałam, nagle zaczynałam się śmiać.

Nie mam żadnej rodziny (ojca nie pamiętam, utopił się gdy byłam mała). Przez pewien czas byłam u chrzestnej, lecz nie chciała się mną zajmować. Trafiłam do domu dziecka. Zaczęłam się uczyć w liceum medycznym, ale nauka nie szła mi najlepiej. Po pół roku przeniosłam się do liceum zawodowego. Zawsze miałam trudności z matematyką. Prosiłam dyrektora szkoły, by mi załatwił korepetycje. Na to on odpowiedział: „Jak sobie nie dajesz rady, możesz odejść ze szkoły, nikt cię tu nie trzyma".

JEDYNA SZANSA

Skończyło się na tym, że miałam poprawkę. Nauczycielka zapytała mnie z tego, czego akurat nie umiałam. Inne dziewczyny prosiły, płakały, by spytała je jeszcze raz, ja – nie. Powiedziałam tylko: dziękuję, i wyszłam. Już taka jestem, że o nic nie proszę. Nie, to nie! Może wpłynął na to pobyt w domu dziecka? Tam nauczyłam się ukrywać swoje zmartwienia i nie przejmować się kłopotami. Inaczej musiałabym ciągle płakać. Gdy wychowawczyni mówiła mi przykre rzeczy – tylko zaciskałam zęby.

Kiedyś nauczycielka powiedziała: „ty mnie nie będziesz oceniać". – Jak to? – odparłam – przecież każdy ma prawo osądzać innych. Zrobiła mi awanturę, że jej podrywam autorytet. A przecież tak samo należy mi się szacunek jak innym ludziom. Przecież to nie moja wina, że jestem w domu dziecka!

Zawsze starałam się komuś pomóc, czuć się potrzebna. W szkole oddawałam swoje posiłki dziewczynom ze stancji, mnie wystarczała zupa. Potem, gdy zobaczyłam, że one wydają pieniądze na ciuchy, a ze mnie się śmieją – przestałam.

Gdy byłam w szpitalu woziłam chorych na wózkach, odwiedzałam tych, do których nikt nie przychodził. Myślałam, że w hufcu pracy w szpitalu będzie tak samo. Niestety, rozczarowałam się. W ogłoszeniu było napisane, że zdobędę zawód sanitariuszki. Okazało się, że muszę robić to, co salowa, a ona sobie biega na plotki do koleżanek.

Pierwszy dzień był bardzo ciężki.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

NA RYŻOWEJ MIOTLE i gdzie indziej

Z dr. ZBIGNIEWEM DOMAŃSKIM o tajemnicach świata grzybów rozmawia: JERZY DĄBROWSKI

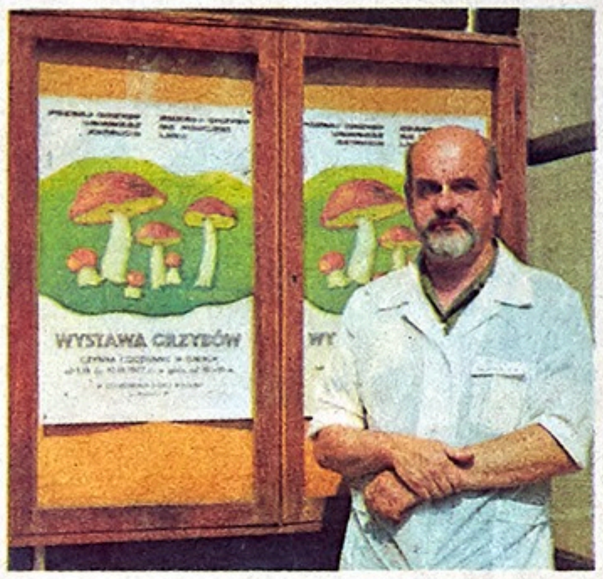

Dr Zbigniew Domański, specjalista od systematyki grzybów, autor szeregu prac naukowych z tego zakresu, członek sekcji mykologicznej Polskiego Towarzystwa Botanicznego – jest z zawodu... lekarzem medycyny. Swoje zainteresowanie systematyką grzybów – a jest autorytetem w tej dziedzinie uznawanym nie tylko w kraju – traktuje jako hobby Fot. **J. Dąbrowski**

– Panie doktorze, skąd u pana, który na co dzień uprawia tak specjalistyczną gałąź medycyny jaką jest radiologia – tak głębokie zainteresowanie grzybami? Podejrzewam, iż zaczęło się od tego, że ujrzał Pan jak wygląda człowiek w środku po zjedzeniu powiedzmy muchomora sromotnikowego?

– Nic podobnego! To z medycyną nie ma nic wspólnego, przeciwnie, stanowi rodzaj odskoczni od spraw zawodowych. W botanice jestem więc amatorem, choć, prawdę mówiąc, zacząłem się interesować grzybami wcześniej niż medycyną – bo już w gimnazjum. Nie wydano wtedy jeszcze żadnego polskiego atlasu grzybów, choć atlasy roślin zielnych i klucze do ich rozpoznawania już były i to zupełnie niezłe. Postanowiłem więc zainteresować się właśnie grzybami, bo wszystko co mało poznane – pociąga. I zacząłem systematycznie klasyfikować wszystkie zebrane okazy, tworząc sobie na swój użytek coś w rodzaju atlasu z własnymi akwarelowymi szkicami. I tak to trwa do dziś...

– Ten rok jest wyjątkowo łaskawy dla grzybiarzy, ale w ogóle grzybów jest coraz mniej. Słyszy się nawet krakanie, że jeśli tak dalej pójdzie, to następne pokolenia będą oglądały te rośliny wyłącznie w muzeach przyrodniczych...

– Na to się zanosi. Grzyby kapeluszowe zanikają wszędzie, nie tylko w lasach, ale i na terenach miejskich. Od 1959 roku badam te sprawy w dwóch miastach: Warszawie i Łodzi. Niegdyś występowało tu kilkadziesiąt gatunków grzybów – dziś zaledwie kilka. Ponieważ zbieranie grzybów po parkach i trawnikach miejskich jest w zasadzie niedozwolone, grzybni nie niszczą zbieracze, tak jak w lasach, gdzie jest wydeptywana. A więc powodem zanikania grzybów w miastach są nieco inne czynniki, przede wszystkim dwa: wzrastające zanieczyszczenie powietrza oraz systematyczne obniżanie poziomu wód gruntowych. W Warszawie rosną jeszcze w skupiskach po kilkanaście: twardzioszek przydrożny (*Marasmius oreades*) i czernidłak lśniący (*Coprinus micaceus*). O pieczarkach nie wspominam, gdyż są one rodzajem importu – wyrosną tylko tam, gdzie znajdą choćby niedłużą ilość końskiego nawozu. Stąd znaleźć je można w najróżniejszych miejscach. W bieżącym roku – na skutek dużych opadów – napotkać można też pojedyncze okazy gatunków, które od dawna nie pojawiały się w miastach...

– Tyle lat spotyka się Pan doktor z grzybami... Które z tych spotkań było najciekawsze?

– Opowiem może o jednym z pierwszych. Mieszkałem już na własnych śmieciach, kiedy dostałem list z domu, że u dziadków wyrosło coś z mojej branży na zapomnianej gdzieś w wilgotnym kącie podwórka starej miotełce ryżowej. Wszyscy znali moje zainteresowania i zawsze informowali mnie o takich sprawach. Odpisałem więc, prosząc o przysłanie miotły w paczce, może dojdzie w jakim takim stanie. Doszła w fatalnym... – Ale, że z grzybami nigdy nic nie wiadomo, polałem ją wodą i postanowiłem poczekać. I istotnie, pe pewnym czasie na ryżowych słomkach wyrosły takie same czernidłaki jak poprzednio. Hodowałem je przez sześć tygodni, podlewałem, fotografowałem, a nawet przeżyłem ich katastrofę, której sam byłem mimowolnym sprawcą. Przyniosłem bowiem z innymi grzybami z lasu ślimaka, który nocą wylazł z koszyka i nie wiadomo jakim zmysłem się kierując, przeszedł przez pokój i dolazł do miotełki. I zeżarł ponad połowę mych sensacyjnych grzybów! Ale odrosły...

Próżno by szukać gdziekolwiek wizerunków tych grzybów, nawet w obszernych atlasach naukowych. Nie były dotąd publikowane. „Świat Młodych" czyni to więc po raz pierwszy w świecie. Szkice pochodzą ze zbiorów naszego rozmówcy i przedstawiają niesłychanie rzadkie egzemplarze znalezione przez niego osobiście. Z lewej – grzybówka żółtotrzonowa (Mycena renati), z prawej – gwiazdosz czerwieniejący (Geastrum rufescens)

Rys. **Z. Domański**

– U mnie w altance na działce znalazłem raz – po tygodniu nieobecności – dwa duże i twarde grzyby, które wyrosły... na stole zrobionym ze świeżego pnia wierzby.

– To mógł być *Lentinus lepideus*... W ogóle grzyby wyrastają w nieprawdopodobnych miejscach. Widziałem raz trzy *Paxina calyx* (polskiej nazwy nie ma) rosnące w piwnicy na szmacie, którą owinięto rury centralnego ogrzewania. Jest to grzyb niesłychanie rzadki w świecie, nigdy do owego momentu w Polsce nie znaleziony. Długo by trzeba szukać o nim choćby wzmianki w literaturze fachowej.

Podobnie było z pochwiakami pierzastymi (*Volvariella plumulosa*), na które natknąłem się, na łące w Warszawie. Są one niewielkie, białawe, półokrągłe, o blaszkach koloru różowego. U podstawy mają taką wyraźną jak gdyby pochewką, czarno zabarwioną. To grzybek również tak rzadki, że nawet nie wiemy, czy ma własności trujące. W Polsce po raz pierwszy znaleziony właśnie przeze mnie.

– Były to więc autentyczne sensacje w środowisku mykologicznym. Ale dlaczego owe rarytasy tam właśnie wyrosły? W ogóle: od czego zależy, że pewne grzyby wyrastają tylko w określonych miejscach?

– Tego nikt nie jest w stanie dokładnie określić. Można tylko stwierdzić ogólnie, że widocznie ich zarodniki przyniesione choćby przez wiatr czy ptaki – znalazły odpowiednie warunki rozwoju i dlatego zakiełkowały. Mógł to być zresztą jeden tylko zarodnik, który czekał na tę chwilę dziesiątki, a może nawet setki lat...

– Czy prowadzone są badania nad żywotnością i rozwojem zarodników?

– Oczywiście, ale są one niesłychanie żmudne, gdyż nie znamy jeszcze nawet wszystkich czynników powodujących ich kiełkowanie. Nie wystarczą: wilgoć i byle jakie podłoże. Ta niewidoczna gołym okiem drobina materii – na główce od szpilki mieści się ich do 25 tysięcy! – musi przejść pewien cykl przemian – o których niewiele wiemy, i zetknąć się z czymś – czego nie znamy, a co pobudzi ją do wzrostu. Np. pewne gatunki maślaka rosną tylko w sąsiedztwie modrzewi. Może to być nawet kawałek martwego pnia zakopanego do ziemi. Ale co z tego pnia jest najważniejsze – to już wielka niewiadoma. Badania tych zagadnień są prowadzone i u nas w Polsce również. Np. w latach sześćdziesiątych zajmował się tym prof. Karpiński. Udało mu się wyhodować w laboratorium borowniki na pożywce stanowiącej jego wynalazek i tajemnicę. Profesor już nie żyje, a składu mieszanki chyba nie opublikowano nigdy... Grzybki były maleńkie, rosły w probówkach – widziałem je.

– Zwierzęta mają swoje okresy ochronne, niektóre rośliny zielne objęte są pełną ochroną... Jak wygląda sprawa ochrony prawnej grzybów?

– W ogóle nie wygląda. Każdy może zbierać jak chce, co chce i kiedy chce. Nam pozostaje tylko możliwość apelowania do sumień. A to nie do wszystkich trafia. Dlatego też wydaje się, iż odpowiednie czynniki powinny jak najszybciej podjąć decyzję o objęciu ochroną niektórych gatunków tych roślin. Jestem gotów służyć swym doświadczeniem tym, którzy taką inicjatywę podejmą.

– Dziękuję za rozmowę, życząc nam wszystkim, aby to stało się jak najszybiej.

Oto sławne czernidłaki dr. Domańskiego. Aby zrobić te zdjęcia trzeba było wstawać o 1 w nocy. Każdy grzybek rozpoczynał bowiem swą wegetację wieczorem, przeżywał noc, a nad ranem pozostawała z niego tylko czarna plama. Łącznie wyrosło ich ponad 50 sztuk.

Fot. **Z. Domański**

▶ DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Pododdziałowa pokazała mi 6 sal, w których trzeba dwa razy umyć podłogę. Oprócz tego do moich obowiązków należało sprzątać sanitariaty, dyżurkę, pokój pielęgniarek, rozdać posiłki chorym, umyć naczynia, doprowadzić kuchnię do porządku. Tego dnia miałam jeszcze umyć okna i uprać firanki. Miałam tyle pracy, że ani na chwilę nie usiadłam.

Jestem na oddziale, gdzie leżą kobiety po porodzie. Strasznie marudzą, nie chce im się koło siebie sprzątnąć. Niektóre czekają, żeby je nakarmić... Na początku byłam

JEDY-NA SZAN-SA

bardzo uczynna, nieraz dzwoniłam do ich domów, by coś przekazać mężom. Ale one myślą, że to mój obowiązek. Kiedyś jedna mnie woła i rozkazuje: „Niech pani idzie szybko na dół, bo mąż przyniósł mi paczkę". Gdyby poprosiła, na pewno bym poszła, ale takim tonem to nie do mnie.

Wczoraj, przychodzę na drugą zmianę, patrzę, a tu wszędzie bałagan, naczynia nie pomyte. Pytam: co robiła salowa? Pracowała – odpowiada pododdziałowa. Musiałam wszystko posprzątać. Ja, jak odchodzę, to zawsze zostawiam oddział w porządku. Salowa jeszcze potrafi zrobić mi awanturę przy pacjentkach, że nie dbam o czystość. Słyszałam jak rozmawiała z pielęgniarkami w dyżurce, że teraz mają pachołka, który wszystko zrobi.

Wstydzę się, że jestem salową. Przecież nie będę wszystkim tłumaczyć dlaczego tylko w ten sposób mogę zdobyć zawód. Ludzie patrzą, a w ich oczach można wyczytać zarzut – taka młoda przyszła na salową, pewnie jej się uczyć nie chce.

Tutaj nie wytrzymam dłużej. Koleżanki na innych oddziałach mają mniej pracy. I są inaczej traktowane. Jedną, pielęgniarka nauczyła nawet robić zastrzyki. A ja niczego się nie nauczyłam tylko ciągle sprzątam. Chcę się przenieść na oddział biegunkowy. Tam są małe dzieci, będę je mogła przewijać, karmić... Muszę wytrzymać ten rok. Co mam robić?! Mam 19 lat i jestem jak to się mówi w domu dziecka „usamodzielniona".

Ten hufiec był dla mnie jedyną szansą. Mam gdzie mieszkać, zarabiam na siebie. Po odliczeniu na posiłki zostaje mi 900 zł. W tym roku dostanę mieszkanie (mama założyła mi książeczkę). Tylko co do niego wstawię? Tak sobie pomyślałam, że muszę znaleźć pracę w jakimś szpitalu i skończyć liceum dla pracujących. Dopiero potem będę mogła uczyć się w studium zawodowym pielęgniarstwa. W ten sposób zdobędę zawód, o którym marzyłam od dawna. Zdobędę!

Spisała:
ANNA PACIOREK

Aeroklub Śląski ma 50 lat

Pięćdziesiąt lat temu grupa amatorów latania złożona z byłych pilotów postanowiła założyć w Katowicach klub lotniczy. Projekt ten zrealizowany został w dniu 19 października 1927 roku. Pod tą datą w rejestrze stowarzyszeń Urzędu Wojewódzkiego Śląska widnieje wpisana nowo powstała organizacja – Klub Pilotów Województwa Śląskiego. W pierwszym okresie klub zrzeszał 60 członków zwyczajnych i wspierających, a jego działalność ograniczała się w zasadzie do propagowania idei lotnictwa, jako że nie było po prostu na czym latać...

W dniu dzisiejszym wiecznie młody Aeroklub Śląski zrzesza ponad 250 członków. Działają w sekcjach: szybowcowej, samolotowej, balonowej, spadochronowej, modelarskiej, amatorów-konstruktorów i lotniarskiej. Pilotów nestorów skupia Klub Seniorów Lotnictwa. W hangarach na amatorów czekają Wilgi, Gawrony, AN-2, Zliny, Jantary, Cobry i Muchy.

Trudno wymienić wszystkich członków Aeroklubu Śląskiego, którzy w swej sportowej karierze sięgali po najwyższe laury, zdobywali mistrzostwa kraju, świata, bili rekordy, wygrywali najpoważniejsze zawody. **Edward Makula, Edward Ciapała, Felicjan Kawala, Stanisław Milówka, Władysław Gawlik,** to tylko nieliczni ze sporego grona katowickich lotników-sportowców, którzy na stałe weszli do historii nie tylko śląskiego lotnictwa.

Koronnym punktem obchodów półwiekowej działalności katowickiego Aeroklubu były pokazy akrobacji lotniczej, spadochronowe, szybowcowe, pokazy działania GOPR z pokładu śmigłowca, modele na uwięzi i sterowane radiem, i start balonu „Katowice". Było na co popatrzeć, sportowych emocji nie brakowało. **(mar)**

Fot. **Michał Żbikowski**

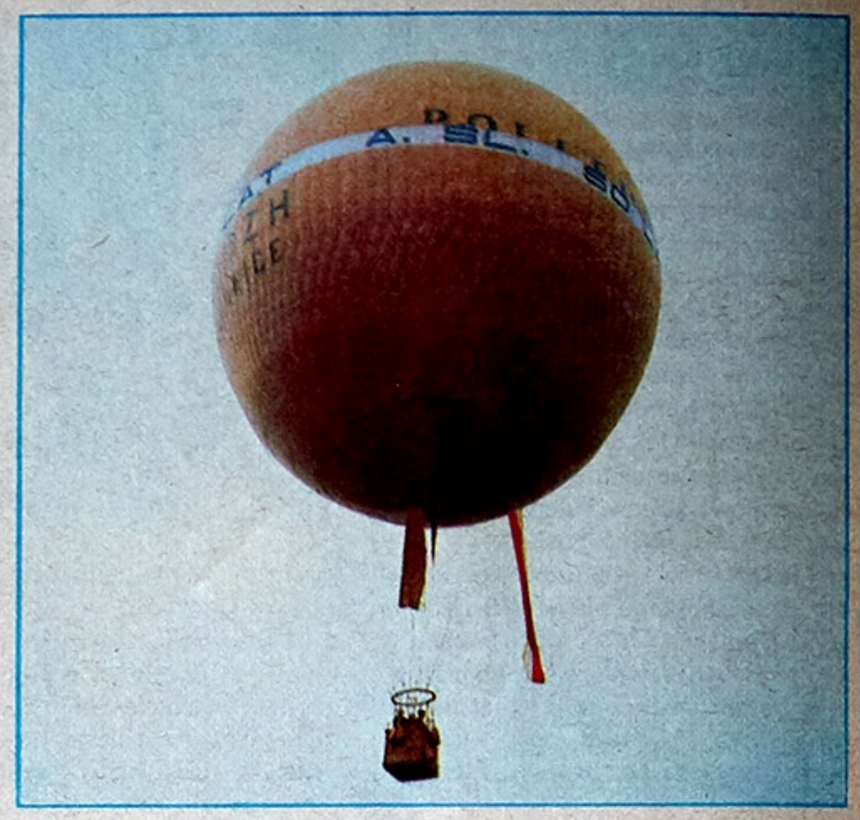

Autostopem po Hiszpanii

CHŁOPIEC ZNAD RZEKI GWADAL-KIWIR

Dobiegał właśnie końca długi i skwarny dzień andaluzyjskiego lata, kiedy ściśnięci w kabinie rozklekotanej ciężarówki przejeżdżaliśmy przez starorzymski most na rzece Gwadalkiwir, oddzielającej nowe dzielnice Kordowy od jej zabytkowej części. Nasz milczący przez całą drogę kierowca, cecha raczej niespotykana u pełnych temperamentu Hiszpanów, zjechał za mostem w prawo i zaledwie poczekawszy, aż wygramolimy się wraz z bagażami z jego samochodu, nie zwracając uwagi na nasze podziękowania odjechał wyraźnie spiesząc się na kolację.

Zostaliśmy sami na ulicy ciągnącej się wzdłuż murów obronnych, za którymi znajdowała się stara Kordowa i słynny na całym świecie meczet, o ponad 800 wielobarwnych kolumnach.

Kordowa – miasto pamiętające czasy Fenicjan, Greków i Kartagińczyków, stolica rzymskiej kolonii i siedziba kalifa po utrwaleniu się arabskiego panowania. We wczesnych wiekach średnich ciągnęło się ono daleko na północ Półwyspu Iberyjskiego, skąd wyznawcy Mahometa wyparli chrześcijańskich władców wizygockich. Sami zaś w kilka wieków później ulegli katolickim królom Kastylii i Aragonii.

Te następujące po sobie fale burzliwych wydarzeń historycznych, choć często niosły za sobą śmierć, spustoszenie, poniewierkę i tułaczki kolejnym mieszkańcom Kordowy, nie niszczyły samego miasta, oszczędzając jego bogate zabytki. Przetrwała Kordowa przez wieki całe jak skała osadowa, na której widoczne są skamieliny ze wszystkich etapów jej powstawania stopione w jedną urzekającą całość.

Ciekawość nagliła aby jak najszybciej przekonać się naocznie o świetności miasta. Ale musieliśmy pomyśleć o naszych wymęczonych podróżą ciałach, domagających się zimnego prysznicu i należnego im od ponad dziesięciu godzin posiłku. Z pomocą przyszedł nam szczęśliwy zbieg okoliczności. Tym razem objawił się on pod postacią wesołego czternastolatka, który wynosząc właśnie z pobliskiej piekarni naręcze długich bułek, zatrzymał się z wyrazem radosnego zdumienia na twarzy, gdy zagadnięty został w swoim rodzimym języku przez osobę na pewno na Hiszpankę nie wyglądającą.

Wkrótce, wspólnie z naszym nowym przyjacielem znaleźliśmy się w malutkiej kawiarence, gdzie za dużym kontuarem rezydował jej właściciel, a jednocześnie ojciec sympatycznego chłopaka. Nie przerywając ani na moment obsługiwania gości, gospodarz zaproponował nam nocleg i wyżywienie na warunkach w pełni odpowiadających naszym niezbyt wygórowanym potrzebom i jeszcze mniejszym możliwościom dewizowym. Po chwili Pepe zaprowadził nas do skromnie umeblowanego, ale czystego pokoju wskazując po drodze łazienkę z wytęsknionym prysznicem. Jednocześnie zaofiarował nam swoją pomoc jako przewodnik, twierdząc, że jeżeli mamy pozostać w Kordowie tylko jeden dzień, to warto poświęcić trochę snu, aby obejrzeć stare miasto w czasie zapadającego zmierzchu. O tej porze jest ono bowiem najpiękniejsze. Z chęcią przystaliśmy na jego propozycję i kiedy po pół godzinie zeszliśmy na kolację Pepe z niecierpliwością już nas oczekiwał, pragnąc jak najszybciej zaprowadzić nas do swoich ulubionych miejsc. W tym czasie zdążył już wyprosić u ojca pozwolenie na trochę późną eskapadę, co równoznaczne było ze zwolnieniem go na ten wieczór z obowiązków zawodowych. Trzeba bowiem wiedzieć, iż nasz młody znajomy w czasie wakacji zatrudniany jest przez swoich rodziców, wzorem wielu rówieśników, jako pomoc w prowadzeniu restauracji. Senior Antonio, kiedy zapytaliśmy go trochę zdziwieni, czy Pedro nie jest jeszcze zbyt młody, aby pracować przy barze, z dumą odpowiedział, iż w jego rodzinie wcześnie zaczyna się pracować na własne utrzymanie. On sam zaczął pracować, mając niespełna dziesięć lat, dzięki czemu zna się na swoim interesie i potrafi szanować grosz, a syn jego przejmie kiedyś kawiarnię, więc musi się wszystkiego nauczyć.

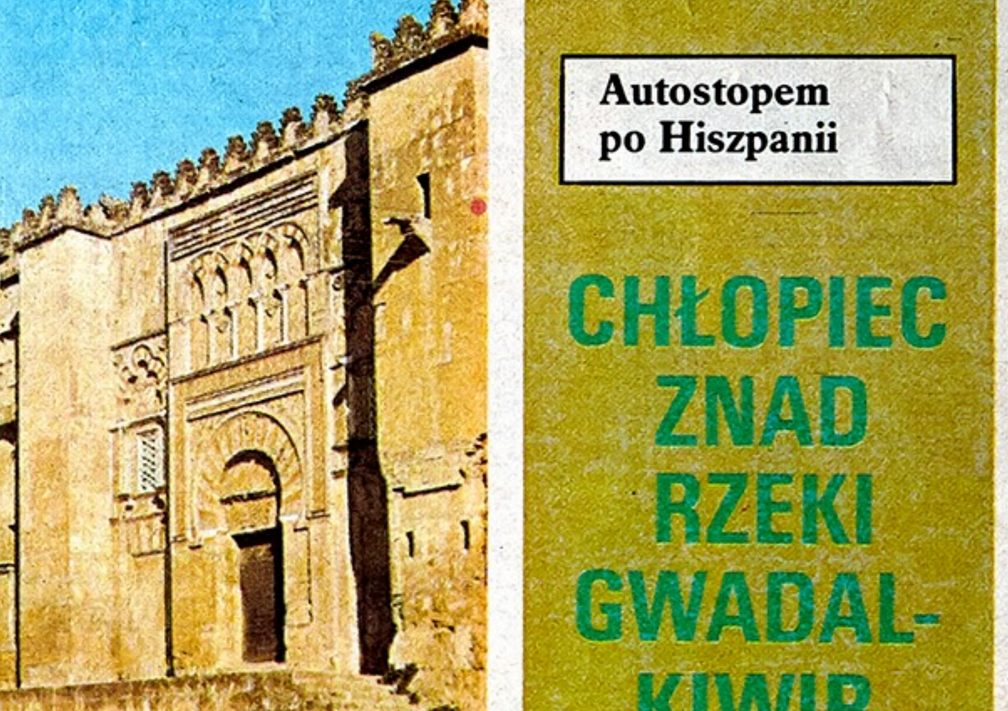

Pepe zaprowadził nas najpierw do dawnej dzielnicy żydowskiej, gdzie przed wiekami skupiało się życie handlowe miasta, a i teraz na każdym rogu czy w zaułkach wabiły turystów sklepiki z andaluzyjską ceramiką, wyrobami z drewna i typowymi dla tego regionu pamiątkami ze skóry. W większości były to tandetnie wykonane i krzykliwe w kolorach figurki torreadorów, tancerek flamenco i innych tego typu drobiazgów, produkowanych i sprzedawanych masowo. Poszliśmy dalej wzdłuż białych i pozbawionych okien murów staromiejskich domów, z których na ulicę wychodziły tylko solidne okute, bogato rzeźbione czarne od starości drzwi. Przed jednymi z nich Pepe zatrzymał się i skinieniem ręki zachęcił nas, abyśmy weszli za nim do środka. Z niewielkiej sieni wchodziło się nagle w cudowne królestwo kwiatów i zieleni. Pepe wprowadził nas do prawdziwego andaluzyjskiego patio. Stare domy andaluzyjskie, których architektura oparta jest na wzorach arabskich, braku okien w ścianach zewnętrznych, chronią swych mieszkańców przed dokuczliwymi upałami i ciekawością ulicznych przechodniów. Ich piękno widoczne jest dopiero w środku, gdzie małe podwórka otoczone ażurowymi krużgankami, zapewniającymi zbawienny cień, wypełnione są zielenią i feerią kolorowych barw przepięknych kwiatów. Przemyślne kompozycje kwiatowe wypełniają całe patio, pośrodku którego zawsze stoi fontanna. . Ta idealna harmonia smukłych kamiennych detali, bujnej zieleni, kwiatów, wody wraz ze stale zmieniającą się grą świateł i cieni stwarza niepowtarzalny nastrój do wypoczynku.

Szarówka wieczoru szybko zmieniła się w głęboki granat nocy rozświetlonej blaskiem księżyca i migotaniem gwiazd. Syci pierwszych wrażeń i mocno zmęczeni wracamy do domu. Po drodze Pepe zatrzymuje się na chwilę, aby za pomocą chusteczki, pokazać nam jak blisko siebie stoją domy na najwęższej ulicy w Hiszpanii, nazywającej się – Pañuelo czyli właśnie „chusteczka". Przesmyk między domami jest tak wąski, że do ich przeciwległych ścian sięgają rogi męskiej chustki do nosa.

Następnego ranka przekraczamy główną bramę kordowańskiego meczetu. To arcydzieło arabskiej architektury średniowiecznej budowane było przez trzy stulecia. Jego główna sala modłów o powierzchni równej kilku boiskom do piłki nożnej wypełniona jest lasem marmurowych i alabastrowych kolumn, podtrzymujących łuki zrobione z dwubarwnego kamienia. Kolumny te wznosili budowniczowie meczetu prawie z całej Hiszpanii, usuwając je z budowli rzymskich i chrześcijańskich, stąd też ich różnorodność. Zadziwia jednocześnie idealna wprost symetria ich ustawienia; z której strony nie patrzeć, ich rzędy i szeregi są równe. Niewiarygodna jest akustyka tej wielkiej sali, budowniczowie tak zaprojektowali jej wnętrze, że z miejsca przypominającego kształtem muszlę wyłożoną złotem i alabastrem, a z którego mezuin czytał Koran, głos jego wyraźnie docierał do najodleglejszego zakątka świątyni.

Tego zapierającego dech wrażenia, jakie sprawia główna sala meczetu, nie byli w stanie pomniejszyć kastylijscy zdobywcy arabskiej Andaluzji, którzy w swoim katolickim fanatyzmie dosłownie wbudowali w środek meczetu duży kościół o licznych kaplicach.

Czas jednak nagli, przed nami jeszcze wiele kilometrów. Z żalem więc opuszczamy meczet, starą Kordowę i naszego Pepe. Po raz ostatni przejeżdżamy przez rzymski most, skąd bierze swój początek droga w kierunku Grenady. Znów jesteśmy na autostopowym szlaku.

GRAŻYNA PRZYGOŃSKA
RYSZARD ALTYŃSKI
Fot. **archiwum**

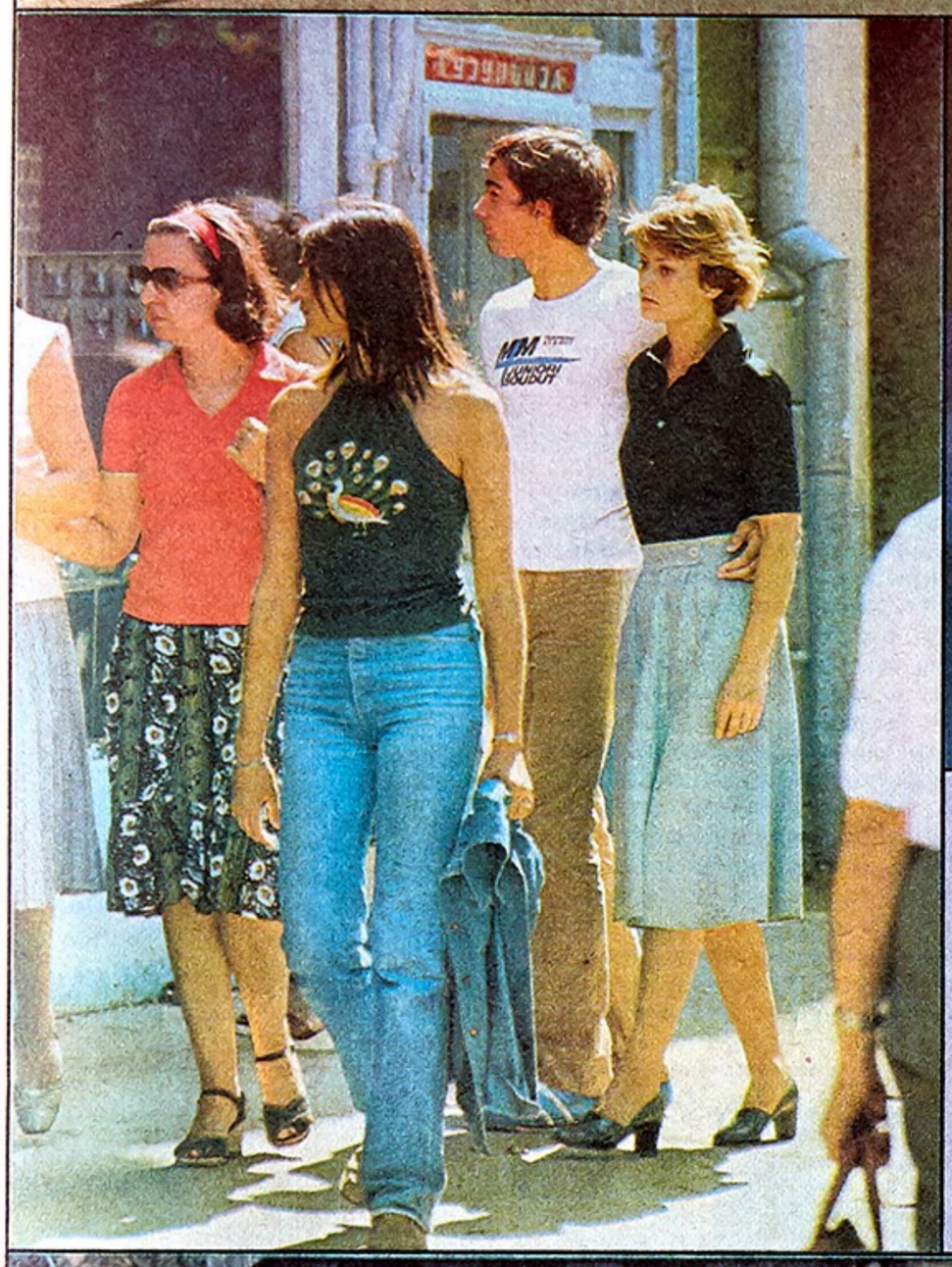

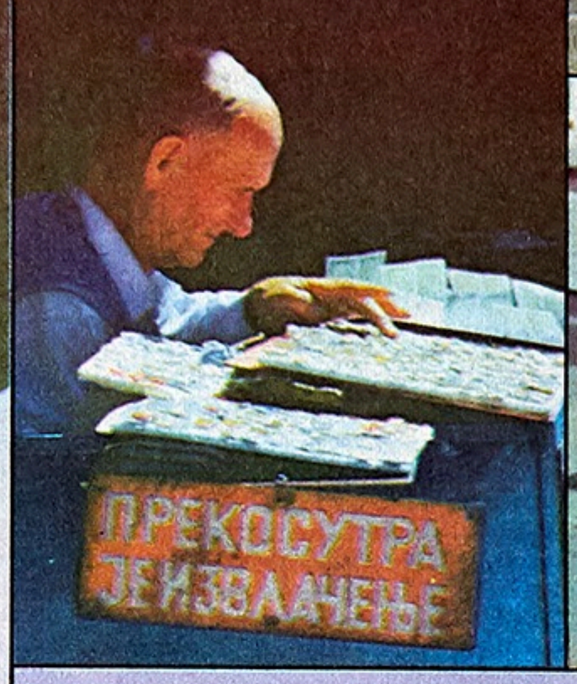

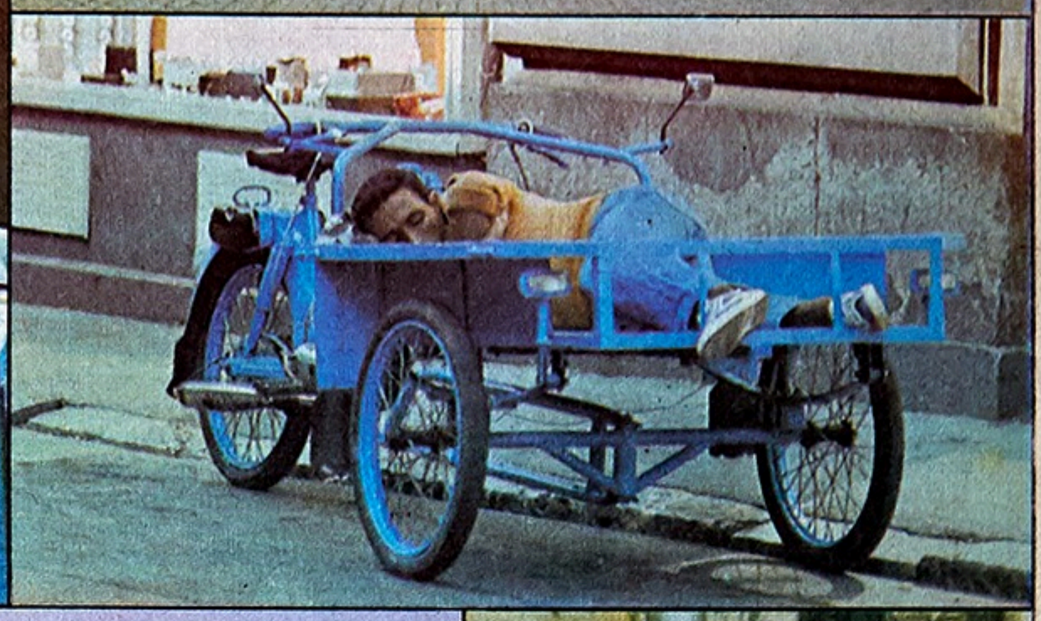

TWO

DWA OBLICZA BELGRADU

Fotoreportaż
M. SZYMAŃSKIEGO I K. ADAMOWSKIEGO

Głowa nie śmietnik?

Jesteśmy uczniami liceum ogólnokształcącego. W naszej szkole czujemy się dobrze, jednak tak jak gdzie indziej, tak i u nas jest wiele spraw nie rozwiązanych. Sedno naszego zmartwienia tkwi w... historii. Właśnie do tego przedmiotu bardzo się zniechęciliśmy. Przyczyną jest nasza nauczycielka. Dlaczego? Po prostu trudno ją „wyczuć". Jeśli ktoś napisze notatkę z lekcji zbyt dokładnie – dwója, jeśli niedokładnie – także dwója. Poza tym profesorka każe nam wbijać w pamięć wiele bezsensownych dat historycznych. Rozumiemy, że trzeba znać daty ważne, których i tak jest bez liku, ale po co zaśmiecać sobie głowę drobnostkami? Myślimy więc, że po przeczytaniu tego listu nasza profesorka zmieni nieco swoje wymagania, a wtedy nauka historii stanie się dla nas prawdziwą przyjemnością.

Licealiści z Malborka

Lubię tańczyć

Jestem uczennicą VII klasy i jak większość dziewczyn lubię tańczyć. Moja mama nie chce tego zrozumieć i gdy zbliża się szkolna zabawa nie pozwala mi w niej uczestniczyć. Kiedy niedawno poprosiłam ją o pozwolenie pójścia na zabawę zrobiła mi okropną awanturę. Dziwią mnie takie metody postępowania z 15-letnią dziewczyną. Byłyby one zrozumiałe, gdybym chciała iść do lokalu, ale szkolne wieczorki organizowane są przecież dla uczniów. Mama traktuje mnie ciągle jak malucha. Kiedy wreszcie będę miała okazję wytańczyć się do woli? Jeśli mama się nie zmieni, to chyba nieprędko. A może czytelnicy doradzą mi jak sobie poradzić z tym problemem?

Jolka

REDAKCYJNA POCZTA

Coś o psie

Już od roku marzę, aby rodzice kupili mi psa. Zgodzili się na to dopiero teraz. Mieszkam jednak na osiedlu – w dużym mieście – i nie wiem czy każda rasa psa nadaje się do życia w takich warunkach. Chciałabym też przeczytać coś na temat zasad żywienia i pielęgnacji swojego, tak upragnionego, czworonożnego przyjaciela.

Monika

OD REDAKCJI: Każdy pies, bez względu na rasę, potrzebuje dużo ruchu, zwłaszcza na powietrzu. A więc decydując się na psa – nawet małego – nie możesz zapominać o tym, że trzy razy dziennie trzeba wyprowadzać go na spacer. Dobrze będzie, jeśli przed podjęciem ostatecznej decyzji przeczytasz sobie książkę Ludwika Smyczyńskiego „Psy, rasy, wychowanie" lub Mariana Szymankiewicza „Zasady chowu i hodowli psa rasowego".

GWIAZDOZBIÓR

GUSTAW HOLOUBEK

dyrektor Teatru Dramatycznego prezes Stowarzyszenia Artystów Teatralnych i Filmowych Znany i ceniony aktor mówi:

„TEATR POWINIEN BYĆ MIEJSCEM POEZJI"

Gustaw Holoubek znany jest z wielu ról filmowych i teatralnych. Oglądaliśmy jego kreacje między innymi w filmach „Salto", „Prawo i pięść", „Marysieńka i Napoleon", „Mazepa". Obecnie występuje w warszawskim Teatrze Dramatycznym w roli Skrzypka w „Rzeźni" Mrożka i Króla Leara w Szekspirowskiej tragedii pod tym samym tytułem. Dziś rozmawiamy z nim o funkcji teatru we współczesności.

Czym jest dla Pana aktorstwo? Interesującą pracą zawodową, pasją czy też może czymś na miarę filozofii życiowej?

Kiedyś myślałem, że będzie to spełnienie marzenia, dotyczącego jak sądzę każdego z nas. Było to marzenie wejścia w taką rzeczywistość, która nie byłaby rzeczywistością dosłowną. Byłaby bardziej idealna, nadawałaby się do kształtowania. Myślę, że to marzenie udaje mi się od czasu do czasu realizować. Ale w toku pracy ściśle zawodowej wyzbyłem się tak zwanej wzniosłości, która jak sądziłem miała mi towarzyszyć. Nie znaczy to wcale, że wyzbyłem się odpowiedzialności. Jest to zawód, który rządzi się takimi samymi prawami jak każde inne rzemiosło. Jeśli się go nie opanuje, to trudno mówić o jakimkolwiek przekazywaniu osobistych poglądów, odczuć. Myślę jednak, iż osiągnąłem ten stopień technicznej sprawności.

Czy Pan jako aktor a zarazem dyrektor Teatru Dramatycznego widzi jakąś istotną różnicę pomiędzy widownią młodzieżową a widownią dorosłą?

Usiłuję w ogóle nie zdawać sobie z tego sprawy, że na widowni siedzi tzw. młodzież. Mówię tak, ponieważ drażni mnie, a często wręcz irytuje czynienie z młodzieży osobnej instytucji. Kiedy na widowni jest przeważająca liczba młodzieży, mam po prostu uczucie, że mam do czynienia z bardziej inteligentną, wrażliwą widownią. I to jest wszystko. Staram się grać tak samo jak każdego dnia, z tym, że mam nadzieję i uczucie, że jestem lepiej rozumiany.

Od pewnego czasu istnieje tendencja, by uwspółcześniać dramaty klasyczne. Widzimy postacie z tragedii greckich, aż po dramat naturalistyczny w strojach współczesnych, borykające się z problemami dzisiejszymi. Mieliśmy okazję widzieć tak przedstawionego Fausta w reżyserii Królikiewicza. Czy Teatr, który jest umownym miejscem spotkań, miejscem iluzji, nie powinien by raczej przenosić widza w daną epokę?

Bardzo się cieszę z tego pytania, ale chciałbym wyjaśnić pewne nieporozumienie, które stale się powtarza w wielu dyskusjach, pytaniach, kwestiach. Nieporozumienie to polega na tym, że dla ludzi cofnięcie się w przeszłość jest równoczesnym oddaleniem się od problemów współczesności. Zupełnie tego nie rozumiem, dlaczego akcesoria czy np. język poprzednich wieków mają nas oddalać od współczesności, skoro problemy, postawy, usposobienia i w ogóle kondycja człowieka pozostały identyczne? To prymitywny chwyt, prostacki sposób myślenia, jeżeli próbuje się np. grać Hamleta w smokingu po to, by dać do zrozumienia widzowi, że problemy XVI-wiecznego księcia są i dzisiaj aktualne. O wiele bardziej zaskakuje mnie, gdy mam do czynienia ze stylizacją rzeczywistości określonej epoki, a ona okazuje się niespodziewanie aktualna. Wtedy przynajmniej mogę westchnąć na temat braku postępu wiedzy współczesnego człowieka wobec wiedzy o nim samym w przeszłości.

Jak wobec tego wygląda rola teatru, jaka jest jego funkcja wychowawcza?

Teatr zawsze stwarza okazję do rozmowy o rzeczach nas współcześnie obowiązujących. I może do tego dobrze służyć repertuar stały, uznany, jak i sztuka współczesna, bez niej teatr straciłby rację bytu. Funkcja edukacyjna teatru jest funkcją całkowicie naturalną podobnie jak i w innych dziedzinach sztuki. Nie szukałbym szczególnych sposobów, aby teatr stał się trybuną dydaktyczną. Natomiast wybór w sprawie poinformowania współczesnego widza o tym, co uważa za najważniejsze, jest indywidualnym problemem. Moje osobiste zdanie jest takie, że teatr powinien być miejscem spotkań z poezją. Oczywiście nie w wąskim sensie prezentowania utworów wierszowanych, lecz tak, aby wybór repertuaru miał cechy metafory, uogólnienia, rozważań filozoficznych. Wydaje mi się bowiem, że nic bardziej nie kształci gustów, stosunków międzyludzkich, kultury uczuć niż właśnie poezja.

A czy Teatr Telewizji może spełniać to zadanie? Czy może uczyć nas poezji?

Oczywiście że tak, gdyby pozbył się kompleksu, że średni widz polski jest na niskim poziomie. Gdyby przestał brać pod uwagę, iż rolnik na wsi czy robotnik różni się od wyrobionego widza w tym stopniu, że należy szukać pośrednich dróg przekazu. Wydaje mi się to częstym błędem w inscenizacjach teatru TVP.

Rozmawiał: ANDRZEJ FESNAK
Fot. **R. Pieńkowski**

DOM MODY świata młodych

KAMIZELKI TROCHĘ INNE NIŻ DOTYCHCZAS

To już do tradycji weszło, że jesienią piszę o kamizelkach. Włóczkowych przede wszystkim. Jesienne chłodki bardzo „lubią" coś takiego ciepłego i przytulnego jak włóczkowa kamizelka. Egzystują one w naszej garderobie od wieków już. Przez lata nic się niemal w tej dziedzinie nie zmieniało. Aż nudno było. Rozpoczynający się sezon niesie jednak ze sobą kilka nowości. Nareszcie! – chciałoby się powiedzieć.

Przede wszystkim kamizelki stały się... kamizelami. Myślę o tych wkładanych przez głowę. Dotychczas były obcisłe i króciutkie – ledwo do talii, albo nawet i nie sięgające jej. W tej chwili są luźne, szerokie, wycięcie na ramiona przypomina nierzadko kimonowy rękawek, a długość ich sięga minimum połowy bioder. Minimum, bo bywają i znacznie dłuższe – do kolan nawet, albo i poza kolana. Takie długachne kamizele, to właściwie ze znanej nam dobrze małej kamizelki zachowały jedynie... nazwę – są to właściwie włóczkowe suknie-bezrękawniki.

Na pierwszy rzut oka wygląda to wszystko dziwnie. Ale to głównie dlatego, że inaczej. I przyzwyczaić się można, i polubić też. Mają ogromną zaletę – są ciepłe. O ile te poprzednie kamizeleczki o rozmiarach mini spełniały głównie rolę dekoracyjną, to kamizele w rozmiarze maxi spełniają również i rolę praktyczną, ogrzewczą. Szalenie przydatną w naszym klimacie. Mają i wadę. Nie da się już takiej kamizeli wydziergać przez jeden wieczór z paru dekagramów włóczki – teraz to jest już robota solidna, prawie tak jakby się sweter robiło. Cóż, tak to już bywa, że każda nowinka ma i zalety, i wady.

Jeśli ktoś bardzo by nie lubił siebie w takim wielgachnym kamizelisku, ma do dyspozycji i wersję krótszą, do talii. Najmodniejsza kamizelka do talii jest rozpinana z przodu. Właściwie nawet nie tyle rozpinana, co rozcięta, bo nawet jeśli jest zaopatrzona w dziurki i guziki, to na ogół się z nich nie korzysta. Często więc w ogóle ich nie ma.

Jesień sprzyja kamizelkom, nie tylko włóczkowym. Za tydzień – o kamizelkach z materiału!

RIUSZKA

TURNIEJ WARCABOWY

O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

Prowadzi Romuald Frey

Zadanie 29. Białe zaczynają i w czwartym posunięciu wygrywają. Za prawidłowe rozwiązanie – 1 punkt.

Zadanie 30. Białe zaczynają i w ósmym posunięciu wygrywają (przez zablokowanie damki przeciwnika). Za prawidłowe rozwiązanie – 3 punkty.

Rozwiązanie należy przesyłać pod adresem redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród uczestników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, niezależnie od przyznanych punktów rozlosujemy dwie nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ

Zadanie 19. 1. 34-29! 23:45 2. 28-23! 19:28 3. 33:11! 16:7 4. 44-40 45:34 5. 39:30 :19:8:17. Zadanie 20. 1. 28-23! 19:48 2. 44-39! 48:44 3. 50:26 16-21 4. 26:17

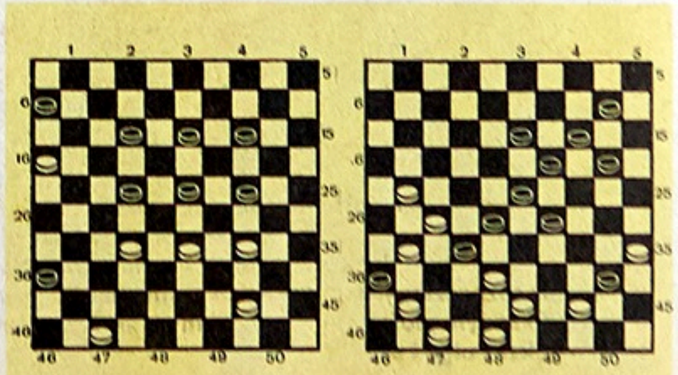

Zadanie 29

Zadanie 30

Renesans w transporcie morskim?

ŻAGLE WRACAJĄ DO ŁASK

(INTERPRESS). W dobie międzykontynentalnych podróży z szybkościami naddźwiękowymi, zgoła nieprawdopodobnie brzmią wieści o próbach ponownego wykorzystania żaglowców w morskim transporcie towarów. A jednak wśród światowych eksporterów budownictwa okrętowego pomysł ten rozpatrywany jest od pewnego czasu całkiem na serio i prowadzone są już nawet pewne badania modelowe.

Chodzi w tym przypadku o transport towarów masowych, jak węgiel, rudy czy surowce chemiczne, które specjalnie się nie spieszą, o ile każdy dzień rejsu nie będzie kosztował zbyt drogo. Koszt ten zależy od amortyzacji statku, kosztu paliwa i liczby załogi statku. Ta ostatnia pozycja – duża liczba ludzi potrzebnych do manewrowania żaglami – zadecydowała w większym stopniu niż ich powolność o wyeliminowaniu żaglowców z konkurencji transportowej.

Nowe żaglowce transportowe wyposażone są w układ ożaglowania maksymalnie wykorzystujący siły aerodynamiczne, przystosowany do zdalnego manewrowania płótnami żagli z wykorzystaniem elektroniki i napędów hydraulicznych. Załoga takiego żaglowca ograniczona więc może być do minimum, tak iż stanie się on konkurencją dla statków z silnikami spalinowymi, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę wzrastające koszty paliwa.

W projektach znajduje się budowa jednostek do 17 tys. DWT. Wprawdzie proponowana sylwetka pudła z sześcioma identycznymi masztami i żaglami daleka jest od piękna „Daru Pomorza", ale nawet w tej zautomatyzowanej postaci pozostaje coś z tradycyjnej romantyki morskiej... **(jd)**

TRATWA PIWOSZÓW

WIELKA BRYTANIA (PAP). 12 dni trwała podróż trzech Australijczyków na tym dziwnym pojeździe. Ważąca około 4 ton tratwa, zbudowana z 15 tysięcy puszek po piwie, wystartowała z australijskiego portu Darwin, by zakończyć się wyprawą w Singapurze. Nie jest to pierwsza jednostka pływająca, zbudowana z tego dość dziwnego materiału. 4 lata temu kapitan wyprawy – Lutz Frankeufeld podjął próbę zbudowania z puszek po piwie łodzi podwodnej. Nie było kłopotów z zanurzaniem się łodzi, co niemiara trudności było natomiast z... wypłynięciem na powierzchnię. **(mh)**

Dziś kolejna porcja wypowiedzi na temat – jaki jest wszechświat? Myślę, że problem ten, aczkolwiek kluczowy dla współczesnej kosmogonii, nie jest łatwy do rozwiązania. Każda hipoteza ma pewne zalety, ale ma też i luki. Warto więc zapoznać się bliżej ze stanowiskiem przedstawicieli różnych hipotez. Czekam więc na Wasze dalsze wypowiedzi.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

WSZECHŚWIAT będzie się rozszerzał

Z wielką uwagą przeczytałem artykuł kol. Krzysztofa Gębickiego „Jaka jest przyszłość Wszechświata?" z 92 numeru „ŚM" i chciałbym go nieco sprostować, a także odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, jakie postawił sobie autor. A więc, wiemy, że wszechświat stale się rozszerza i jedyną znaną siłą, która mogłaby spowodować zatrzymanie się tego procesu, jest przyciąganie się grawitacyjne wszystkich ciał. Oczywiście, jest ono tym silniejsze, im więcej materii jest we wszechświecie. Ponieważ jego objętość wyznaczona jest przez aktualną ekspansję, a całkowita masa jest oczywiście niezmienna, pytanie można sprowadzić do zagadnienia: czy obecna gęstość materii we wszechświecie jest wystarczająca, aby siły grawitacji zwolniły i zahamowały jego dalsze rozszerzanie się.

Krytyczna gęstość, która wystarczyłaby, aby to uczynić, wynosi obecnie 1 atom na metr sześcienny (a nie, jak podaje kol. Gębicki, 10 atomów na metr sześcienny). Już wtedy siły organizacyjne byłyby wystarczające, aby w przyszłości zmusić wszechświat do zapadania się ku punktowi. Oczywiście, myśl nasza od razu podąża ku ewentualności: może wszechświat wybucha i kurczy się cyklicznie, niby ogromna, samoczynna maszyna? Niestety, przeczą temu fakty. Sumując masy wszelkich znanych obiektów w dostępnej badaczom okolicy kosmosu, otrzymujemy obecną gęstość materii około 100-krotnie mniejszą od wspomnianej gęstości teoretycznej. O małej gęstości, za małej, by zamknąć wszechświat, świadczy też obfitość deuteru. Dla utworzenia deuteru warunki w tzw. Wielkim Wybuchu musiały być dosyć szczególne; wysoka temperatura i stosunkowo niska gęstość. Jeżeli całość teorii jest słuszna – gęstość w pierwszych 100 sekundach można przeliczyć na gęstość obecną, znamy bowiem tempo rozszerzania się wszechświata. I tą drogą otrzymujemy gęstość niższą od krytycznej. Wniosek: wszechświat będzie ekspandował i będzie się rozszerzał w identyczny sposób, i nie znana jest siła, która mogłaby to powstrzymać.

Na zakończenie chcę dodać, że przy opracowywaniu mego listu korzystałem z artykułu „Kosmologia obserwacyjna" dr. hab. S. Rucińskiego („MT" 7/77) i tam też odsyłam wszystkich bardziej zainteresowanych, bo artykuł, choć długi, warto przeczytać.

Dariusz Mazur
prezes Klubu „Saturn"

W sprawie paradoksu grawitacyjnego

W swoim liście chciałbym odpowiedzieć na problem grawitacji, poruszony częściowo w artykule pt. „Paradoks grawitacyjny". Wszelkie ciała materialne znajdujące się w przestrzeni kosmicznej oddziałują na siebie siłami, które noszą nazwę sił grawitacji lub ciężkości. Siły te działają zawsze wzdłuż prostych łączących te ciała. Wartość siły grawitacji, jak wykazuje wzór oparty na rozumowaniu Newtona $F = GMm$ (M, m – masy oddziałujących na siebie ciał, r – odległość pomiędzy ich środkami, G – stała grawitacji, jest pewną stałą uniwersalną, mającą tę samą wartość dla wszystkich ciał), jest wprost proporcjonalna do iloczynu mas, a odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości pomiędzy ciałami. Słońce działając na Ziemię pewną siłą spotyka się z oddziaływaniem Ziemi na Słońce siłą równą co do wartości, lecz o przeciwnym zwrocie. Siły te nie równoważą się, ponieważ mają różne punkty przyłożenia i dlatego ciała nie mogą zachowywać się swobodnie, jak gdyby nie działała na nie żadna siła. Siły grawitacji tworzą wokół swoich źródeł, tj. materii, pola grawitacyjne, które podobnie jak magnetyczne posiadają natężenie. Natężenie to jest proporcjonalne do masy ciała wytwarzającego pole ciężkości, a odwrotnie proporcjonalne do kwadratu odległości od tego ciała.

Autor artykułu pt. „Paradoks grawitacyjny" poruszył problem oddziaływania grawitacyjnego Słońca i reszty wszechświata na Ziemię, z czego wynikało, że siła ciężkości Słońca powinna być znikoma w porównaniu z siłą ciężkości reszty kosmosu. Otóż siła ciężkości, jak już pisałem, maleje ze wzrostem odległości. Słońce z odległości 150 mln km działa na każdy 1 kg Ziemi siłą 0,006 N, z odległości 40 razy większej (orbita Plutona) siła ta byłaby 1600 razy mniejsza, a więc niewyobrażalnie mała. Najbliższa gwiazda znajduje się w odległości około 4,3 lat świetlnych, a niektóre galaktyki miliardy lat świetlnych, siły ciężkości reszty kosmosu są więc mikroskopijne w porównaniu z siłą Słońca w pobliżu Ziemi. Poza tym siły te nie działają wzdłuż jednej prostej, lecz w różnych kierunkach.

Innym przykładem może być nasz układ Ziemia–Księżyc. Masa Słońca jest 330 tys. razy większa od masy Ziemi, wydawałoby się, że siła ciężkości Słońca działająca na Księżyc jest ogromna w porównaniu z siłą ciężkości Ziemi. Jednak siła ciężkości naszej planety przeważa siłę ciężkości Słońca, czego dowodem jest utrzymywanie Księżyca i sztucznych satelitów na swojej orbicie.

Niezupełną prawdą jest, że Ziemia krąży dookoła Słońca. Otóż Ziemia podobnie jak inne planety krążą wraz ze Słońcem dookoła wspólnego środka mas. Środek mas znajduje się w odległości niecałych 500 km od geometrycznego środka Słońca. Potwierdzeniem tego jest obrót Słońca dookoła swej osi raz na 27 dni oraz obecność naszej gwiazdy nie w środku orbit planet, tylko w ich ogniskowych.

Dariusz Krzywicki

P.S. Chętnie nawiążę korespondencję na tematy astronomiczne.

KATASTROFA NA CAP CANAVERAL

Próba wyniesienia na orbitę okołoziemską pierwszego zachodnioeuropejskiego satelity telekomunikacyjnego OTS zakończyła się fiaskiem. Amerykańska rakieta „Thor Dhelta", która miała we wtorek wynieść OTS w przestrzeń kosmiczną z nie wyjaśnionych przyczyn stanęła w płomieniach i zmieniła trajektorię. Trzy minuty po starcie została zniszczona na sygnał z Ziemi.

Przesunięciu uległa tym samym realizacja planu dziesięciu państw zachodnioeuropejskich przewidującego zbudowanie do 1980 r. wokółziemskiego systemu telekomunikacyjnego.

Armia amerykańska, by ułatwić dochodzenie w sprawie przyczyn katastrofy, zbiera szczątki rakiety, które wpadły do oceanu 9 km od lądu.

WSZECHŚWIAT PULSUJĄCY

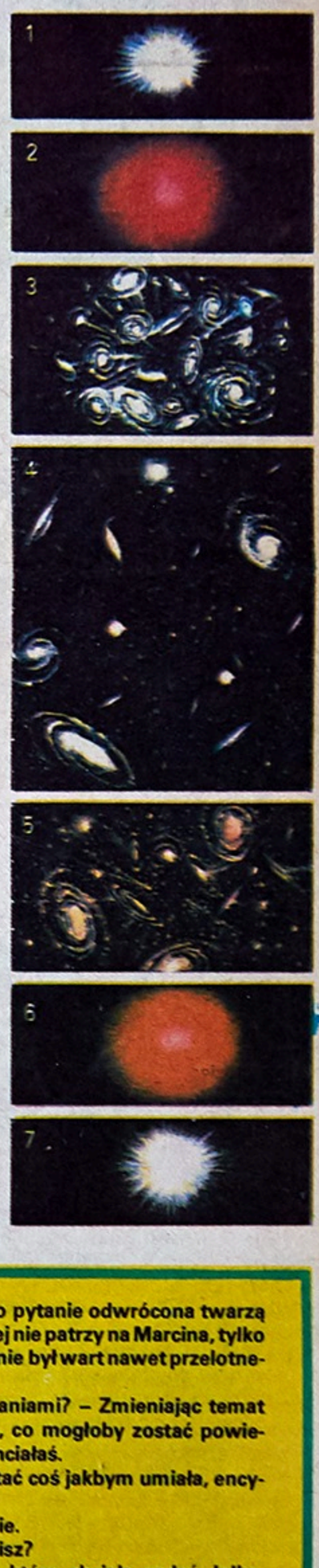

Przedstawiam Wam graficzną wersję wszechświata pulsującego, tzn. rozszerzającego się i kurczącego. Otóż, wg tej hipotezy, około 13 bilionów lat temu – cała materia kosmosu znajdowała się w jednym miejscu. To potworne jej zagęszczenie spowodowało gigantyczny wybuch (zdjęcie 1), który nazywa się Wielkim Wybuchem. Od tego momentu materia zaczyna rozszerzać się we wszystkich kierunkach (zdjęcie 2). W następnym etapie tworzą się lokalne zagęszczenia materii, które dały początek galaktykom, gwiazdom (zdjęcie 3). Początkowy impuls nadany materii trwa nadal, galaktyki rozbiegają się (właśnie obecnie wszechświat znajduje się w tej fazie ekspansji). Ekspansja galaktyk trwać będzie jednak do pewnego momentu (zdjęcie 4), po czym cały proces będzie miał przebieg odwrotny. Wszechświat będzie się coraz bardziej kurczył (zdjęcie 5), aż cała materia znowu znajdzie się w jednym miejscu (zdjęcie 6). I ponownie nastąpi Wielki Wybuch (zdjęcie 7), i tak w nieskończoność.

zachwyconego nieoczekiwanym gościem, nawet powarkuje, chociaż robi to nadzwyczaj dyskretnie. – Siadaj. Pewnie masz interes, inaczej byś nie przyszedł. O co chodzi?

– O nic. Tak wpadłem.

– Mnie nie przeszkadzasz.

– To ja trochę pobędę.

Trzeba przyznać lojalnie, że Jolka nie zadaje niepotrzebnych pytań, przyszedłeś to przyszedłeś i dobrze. Przynosi za to jakieś pismo i wafel „Prince Polo", wafel łamie na pół i dzieli się nim z Marcinem.

– Przejrzyj sobie – rozkłada kolorowe wizerunki krążowników szos. – Niektóre są bardzo fajne.

– Specjalnie się nie interesuję.

– Nie lubisz samochodów?

– Nie powiedziałbym, że nie lubię. Lubię na spokojnie, nie jest to pasja mego życia.

– My mamy syrenkę.

– Wiem.

– Jeżeli rodzice się zgodzą, zrobię prawo jazdy. Ty byś nie chciał?

– Może bym i chciał, nie zastanawiałem się.

Z Jolką rozmawia się inaczej niż z Moniką, cokolwiek się powie brzmi dobrze, nawet doskonale, nie ma tych pauz, niezręcznego milczenia, rozpaczliwych rozmyślań o czym właściwie należałoby mówić. Z każdym głośno wypowiedzianym słowem Marcin czuje coraz większą ulgę i spokój.

– Podpadasz ostatnio. Dlaczego?

– Mam pecha.

– Chcesz, przeczytam ci twój horoskop na cały rok. Pod jakim znakiem się urodziłeś?

Marcin nie wie, ale wystarczy wymienić datę urodzenia, żeby się dowiedzieć, że jego znakiem jest Baran.

Z odczytanego przez Jolkę horoskopu wynika, że będzie to rok wielu trudności, ale także licznych sukcesów na różnorodnych polach i że należałoby bezzwłocznie, w trybie pilnym zanalizować swój stosunek do otoczenia, bowiem upór i zbytnia pewność siebie, charakterystyczne dla Baranów, mogą spowodować niemiłe komplikacje. Horoskop przyobiecuje atrakcyjny wyjazd (na tym wyjeździe Marcin ma być duszą towarzystwa) i nieoczekiwane spotkanie w zimowy wieczór. To spotkanie ma zmienić wszystko lub bardzo wiele, w nawiasie dodano „niewykluczone małżeństwo".

– Więcej nie ma – informuje Jolka, pudel znudził się już gościem i wskoczył na fotel. – W jednym mają na pewno rację. Jesteś uparty i zarozumiały.

– Nie jestem. Wymyśliłaś to sobie.

– Po co? Mówię tak, jak jest.

– To pozostańmy przy swoich ocenach. Ja przy swojej i ty przy swojej.

– Czemu nie chcesz nic zrozumieć?

– Bo nic nie ma do rozumienia.

– Skąd wiesz?

Trochę dziwne, że Jolka zadaje to pytanie odwrócona twarzą do regału, w ogóle od początku raczej nie patrzy na Marcina, tylko w okno albo na pudla, jakby Marcin nie był wart nawet przelotnego spojrzenia.

– To jak, masz zagwozdki z pytaniami? – Zmieniając temat rozmowy Marcin ucieka od czegoś, co mogłoby zostać powiedziane, ale już nie będzie. – Sama chciałaś.

– Nie bój się, poradzę sobie. Czytać coś jakbym umiała, encyklopedia w domu jest.

– Nigdy nie obawiałem się o ciebie.

– Właśnie. Dlaczego mnie nie lubisz?

A jednak nie uciekł od pytania, które chciała zadać Jolka. Niejasno, bo niejasno, ale zdawał sobie sprawę, że ona zechce o coś podobnego zapytać.

– Nie przepadam w ogóle za dziewczynami.

– A za Moniką?

Skąd Jolka zna jego tajemnicę, sekret ukrywany wstydliwie i tak nowy, że nawet on sam nie zdążył się z nim oswoić. Jakieś jasnowidzenie, czary, czy co?

– Za Moniką także nie przepadam – odrzuca najbardziej znudzonym głosem, jaki udaje mu się wydobyć z krtani.

– Nie bujaj. Ja wiem.

– Co wiesz?

– No, o tobie i o Monice.

– Przeczytałaś w horoskopach?

Cdn.

H. CHMIELEWSKI
M. TEODORCZYK

ROZI BITEK

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52 Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 5885/G F-69

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

Dziwo, tym razem aparat nie jest zepsuty, ale nie po to Marcin wyszedł z domu, żeby jak kto głupi uzyskać połączenie. Szkoda, że nie wziął kurtki – ale branie wierzchniego okrycia mogłoby się wydawać podejrzane w sytuacji, kiedy się tylko zjeżdża windą na parter. To nic, mrozu nie ma, w swetrze doskonale przebiegnie te trzysta metrów do bloku Pawła.

– Hej!

– Hej! Właź. Masz coś, czy tylko tak?

– Tylko tak.

– Może być. U nas stary, pranie monstrum. Z powodu nowej pralki. – W istocie z łazienki dochodził basowy, znaczący pomruk i plusk wody. – Chcesz zobaczyć, jak się programuje?

Wbrew prawom natury na jednym, wolnym metrze kwadratowym w łazience skupiła się cała rodzina Pawła obserwując w napięciu zwalistą pralkę migoczącą czerwonym czujnikiem. Pralka miała budzący szacunek szereg klawiszy, a przy klawiszach stosowne napisy.

– Teraz płukanie, sama pompuje i wypompowuje wodę. Technika, stary!

Przez owalną szybkę było widać kłąb mokrej bielizny, kręcący się niczym liście miotane wichurą, pralka dygotała i mruczała groźnie.

Wszyscy milczeli, by nie zagłuszać silnika, było ciasno, cicho i okropnie nudno, przynajmniej dla Marcina, bo posiadacze pralki zupełnie nie wydawali się znudzeni tym, co mieli przed oczyma.

– Ja już chyba pójdę.

– Coś ty? Zaraz będzie programowane wyżymanie.

– Spieszy mi się.

– To wpadnij po obiedzie. Może jeszcze będziemy dalej programować.

– Może wpadnę.

Po ustaleniu, że dom Pawła nie stanowi azylu przed domowym trzęsieniem ziemi, właściwie nie pozostawało nic innego jak wrócić i udawać, że troskliwie wybiera się trasy spacerów po stolicy („Po prawej ręce Trasa W-Z i widok na Wisłę, królowę rzek polskich, po lewej kolumna Zygmunta, monument z siedemnastego wieku, opiewany wielokroć przez poetów, przed nami zaś zamek dźwignięty z ruin wysiłkiem całego społeczeństwa. Proszę zwrócić uwagę na pozostałości murów miejskich") lub przygotowuje się interesującą konwersację w językach obcych lub do obcych zbliżonych.

Marcin przystaje i wgapia się w okna mijanego bloku. Co by się stało, żeby na chwileczkę wpadł do Moniki? Nie, nie może. Po tym, co powiedział jej wczoraj, nie może. Bardzo by chciał, ale to niemożliwe.

Robi mu się zupełnie zimno, nasiąknięty wilgocią sweter kamienieje jak kolczuga bolesławowego woja, Marcin rusza wyciągniętym galopem przed siebie. Biegnie bez celu, byle się rozgrzać i przystaje przed blokiem Jolki. Jolka? A dlaczego nie? Zdecydowanie wstępuje na schodki, wszystko jest lepsze niż gapienie się bezskutecznie w okna Moniki i słuchanie odgłosów zaaferowanej krzątaniny, poleceń, rozkazów i poruczeń. Posiedzi z pół godziny i pójdzie sobie, nie ma sprawy.

– Rodzice pojechali do Kampinosu, a ja siedzę nad tymi twoimi pytaniami, oszaleć można. Na Skałomiejczyńskiego już odpowiedziałam, z silnikiem Wankla jestem na bieżąco, ale nie mogę nic znaleźć o protezach. – Tak mówi Jolka, a czarny pudel obwąchuje podejrzliwie nogawki Marcinowych spodni, nie wygląda na zbyt

Dokończenie na str. 7

25 Ewa Nowacka BURZA nad ZLEWOZMYWAKIEM